Konto P. K. O. 149.247 — Należytość pocztową opłacono ryczałtem — Abonament kwartalny M. 280. — cena numeru 20 marek
Nr. 29. LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW-POZNAŃ — 14. LIPCA 1921. Rok IV.

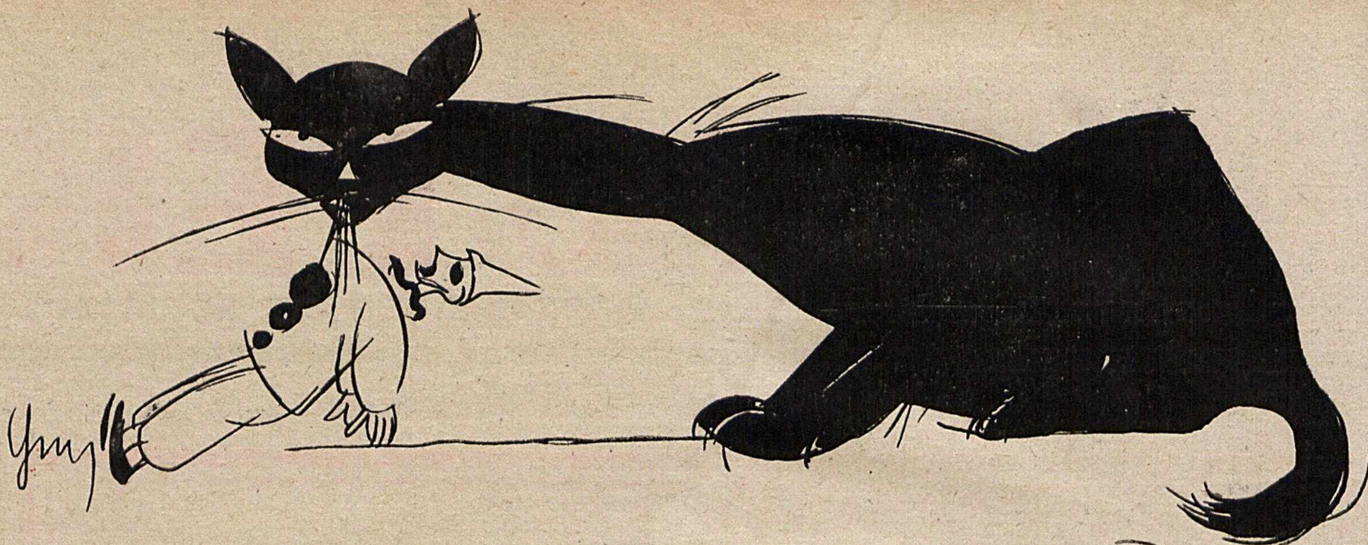
SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. K. Kostynowicza, (Lwów.)



Poseł-rektor Dr. Halban, niedoszły delegat Rzymski, pierwszy prokurator św. Inkwizycji w Polsce.



Jedyny sposób na podniesienie marki.

Po świetnem śniadaniu u Lija,
Gdzie kawior, węgorza, homary,
Skrapiano najlepszą starką,
Która zły humor zabija,
Pan Dolar, rozpustnik stary,
Spotkał się z panną Marką.
Od niego waliła wódka,
Wonne cygaro w ustach,
Ona mizerna bledziutka,
W jakichś zniszczonych chustach,
On aż kapał ze złota,
Ona — zwykła biedota.
Rzekł Dolar zdejmując kepi,
Wesoły działaniem sznapsa:
„O darling! piękne god bey.
Lecz cóż to widzę? aj! aj!
Mnie dzieje się coraz lepiej,
A panna coś schodzi na psa.
Napróżno Steczkowski głosi,
Że różnych środków używa,
Ażeby podnieść panienkę.
Napewne znów zwichnie rękę:
Z kobietą tak zawsze bywa,
Im więcej ją mężczyzn podnosi,
Tem ona niżej upada“.
A na to, Marka powiada
Robiąc do niego oko:
„Pan jesteś businessman stary,
Rozumiesz duszę pieniędzy,
Więc powiedz jaka twa rada,
Ażeby spadły dolary,
A ja, bym poszła wysoko
Wyrwała się wreszcie z nędzy?!“
Mister pomyślał chwilę,
Skrył się w dymów obłoku,
Głowa to była bystra,
Więc w końcu powiedział tyle:
„Poszlijcie nam na pół roku
Swojego skarbu ministra.
Pytasz się jaki zysk
Dla was, z takiego paktu?
Dolar dostanie w skórę,
Odrazu zleci na pysk,
A marka już siłą faktu
Podniesie się znowu w górę!“

Henryk Zbierzchowski.

Konie wyścigowe.

Towarzystwo wyścigów konnych w Warszawie, popełnia stale karygodny błąd, nie licząc się zupełnie z upodobaniami, przyzwyczajeniami i sympatjami większości obecnych stałych bywalców na wyścigach.

Jakżeż bowiem można nadawać koniom angielskie lub francuskie nazwy, których lwia część publiczności ani przeczytać, ani wymówić nie jest w stanie!

Nie zapominajmy bowiem, że co najmniej połowę obecnych warszawskich sporstmenów stanowią: akuszerki, dozorczynie przy dwóch zerach, praczki, pomywaczki, sklepikarze, szewcy, pracownicy asekuracji, piekarze, kelnerzy, fryzjerzy i t. p.

Czyż ci wszyscy nie mają prawa żądać, aby połowa co najmniej koni nosiła sympatyczne im nazwy, jak na przykład:

Andrus.
Majcher.
Cwaniak.
Batiar.
Klawy i t. p.

Następnie, około 40% bywalców na Mokotowskiem polu, to nasi neutralni. Im też chyba należy się pewna liczba koni, o mile dla nich brzmiących nazwach, jak n. p.:

Puryc.
Myszygene.
Goj.
Kapcan.
Cycełe i t. p.

Na pozostałe 10% publiczności składają się dopiero sfery arystokratyczne, ziemiaństwo, ciało dyplomatyczne, dygnitarze, damy z najwyższego i trochę niższego świata, jednem słowem śmietanka towarzystwa. Dla nich można zostawić kilka koni o cudzoziemskich nazwach, jak:

Canaille.
George.
Mente captus.
Tabes.
Commodité i t. p.

I wówczas dopiero wszyscy byliby zadowoleni, nastąpiłaby nawet pewna duchowa łączność pomiędzy publicznością a końmi, wytworzyłaby się atmosfera serdeczna, ciepła, a dusza wyścigów — totalizator — doszedłby do jeszcze piękniejszego rozkwitu i pozyskałby daleko więcej zwolenników i nadobnych zwolenniczek.

Boguś.

Spodnie pana prokuratora.

Prokurator sądowy Hipolit Uczciwiński, był jednym z najzdolniejszych, najpracowitszych i najuczciwszych ludzi, mieszkających w byłym zaborze austrjackim. Miał wszystkie dyplomy uniwersyteckie, dekrety, patenty, pochwalne uznania, przeszłość nieposzlakowaną, ogromną ilość lat służby, wysoką rangę płac i haniebnie wyszargane portki z przedwojennej półwełnianej materji.

Portki te były przyczyną bezsennych nocy pana prokuratora, a lekki sen w jaki zazwyczaj późną nocą zapadał, stawał się jednem pasmem straszliwych zmor, dławiących go niemiłosiernie i budzących go ze snu, w strugach śmiertelnego potu.

Pan prokurator przeżywał we śnie co nocy okropną tragedję na temat, iż jedyne jego spodnie z półwełnianej materji podarły mu się w strzępy, i to na miejscu, które każdego szanującego się prokuratora kompromituje w najzłośliwszy sposób.

Chcąc uniknąć zbliżającej się katastrofy, siadał pan prokurator bardzo ogłędnie na krześle, starał się o ile możności nie zginać kolan przy chodzeniu i przyszedłszy z biura do domu, zdejmywał natychmiast ową tak konieczną, a tak wstydliwie wymawianą przez bogoojczyźniane dzieweczki, część garderoby i oddawał w ręce swej służącej, dla należytego wyszczotkowania, z poleceniem zwracania najbaczniejszej uwagi na miejsca bardziej wytarte.

Mijały tygodnie za tygodniami, jak fale wartko płynącej rzeki górskiej. Przyszły czasy, kiedy miarodajne czynniki uwzględniły wreszcie trudne położenie urzędników i posypały się dodatki, podwyżki, mnożniki drożyźniane i drożniki mnożyźniane, podwyżki do podwyżek i dodatki do dodatków. Prokurator Hipolit Uczciwiński odetchnął!...

W szale marnotrawstwa, jaki opętuje zazwyczaj ludzi ubogich, którzy raptem dochodzą do majątku — zakupił sobie ów nieoględny człowiek bilet do teatru, dał się ostrzyc, skąpał się, zjadł kolację przy muzyce, przejechał się tramwajem za miasto i wypił w ogródku restauracyjnym kilka szklanek kwaśnego mleka.

Po niewczasie przekonał się jednak, że owe niepotrzebne wydatki pochłonęły całą podwyżkę z dodatkami podwyżkowymi i podwyżkami dodatkowymi i że o kupieniu sobie nowych spodni marzyć nawet nie mógł.

Tej nocy miał pan prokurator jeden z najstraszliwszych snów z którego zerwał się z biciem serca i tak podenerwowany, że drżał na całem ciele, jak ów paskarz puzappowy Iksiński, którego dziś rano przesłuchiwał.

Śniło mu się, że idąc najludniejszą ulicą, poczuł nagle, iż cały tył spodni oddzielił się od reszty i spadł ku niezmiernej uciesze gawiedzi na chodnik.

Biedny prokurator!...

. . . .

A teraz przejdźmy się — mówiąc stylem pisarzy z illo tempore — do kuchni pana prokuratora, gdzie ów paskopuzapowiec Iksiński przesłuchiwany tego dnia przez prokuratora, prowadzi ożywioną pogawędkę ze służącą swego oskarżyciela.

— Czy pan prokurator ma więcej par spodni?...

— A skądby?... I te ostatnie z niego spadają!

— Ja panience dam 5000 marek za nic!

— A za co pan daje?...

— Ja mogę dać i 6000 marek, aby panienka dobrze czyściła spodnie pana prokuratora...

— Ja i tak dobrze czyszczę, choć to drańcie, że pożal się Boże!...

— Ja dam i 10.000, ale panienka musi tak czyścić, aby rano panu prokuratorowi, z przeproszeniem, widać było kalesony na tem miejscu, gdzie on siedzi.

Marysia szczerzy w uśmiechu duże, żółte zęby.

— I-i! I tak już wiele nie brakuje do tego. Ale na co to panu?...

— To mój interes! Ale panienka musi „sza" — ani słowa!...

Paskopuzapowiec kładzie na stół dziesięć tysięcy markówek i na odchodnem szczypie w podbródek uszczęśliwioną Marysię.

. . . .

— Jezus Marja! — zawołał rano pan prokurator, gdy Marysia wniosła mu spodnie na tyle w strzępy potargane. — Jezus Marja! Coś ty uczyniła dziewczyno?... Bój się Boga jedynego, coś ty uczyniła?...

— A com miała uczynić?... Pan chciał wiekować w tym starym łachu?... Pociągnęłam szczotką i rozlazło się na nic! Że też panu nie wstyd chodzić było w takich szmatach...

— Co ja teraz zrobię?... Co ja teraz zrobię? — jęczał nieszczęśliwy prokurator, wyrywając sobie resztki włosów z głowy. — W czem ja teraz pójdę do biura?...

— At, przestałby pan lamentować! W kuchni czeka jakiś pan z tłumokiem i mówi, że pan go zamówił na dzisiaj.

— Kogo ja zamówiłem? — jęczał dalej prokurator. — Ja nikogo nie zamawiałem. Co ja teraz zrobię?...

Drzwi się lekko uchyliły i wszedł jakiś pan z dużym tłumokiem w ceratowym pokrowcu.

— Sługa pana dobrodzieja. Pan Iksiński z Puzappu u którego pan dobrodziej zamówił wczoraj trzy garnitury, przysłał mię z prośbą, aby pan zechciał przymierzyć owe garnitury. Czysta wełna — krój prima sorte!

— Ależ ja u pana Iksińskiego nigdy garniturów nie zamawiałem! To jakieś oszustwo!...

— Pan dobrodziej się niepotrzebnie irytuje. Te pieniądze, które pan wręczył panu Iksińskiemu na kupno ubrań, wypłacił mi pan Iksiński co do marki i jeszcze 25.000 pozostało reszty. Oto pieniądze!...

— Ależ pan Iksiński... Pan Iksiński to...

— Pan Iksiński to bardzo porządny człowiek. On nic nie chce zarobić na panu dobrodzieju, bo targował się ze mną jak o swoje. Które ubrania pan dobrodziej weźmie?.. Ja radzę to żakietowe i spodnie w paski, potem to popielate letnie i ciemno-oliwkowe na jesień. Towar first class!...

Pan prokurator rzucił przypadkowo okiem na swoje potargane spodnie, zawieszone na poręczy krzesła i zdające się do niego uśmiechać ironicznie z wszystkich czarnych czeluści dziur.

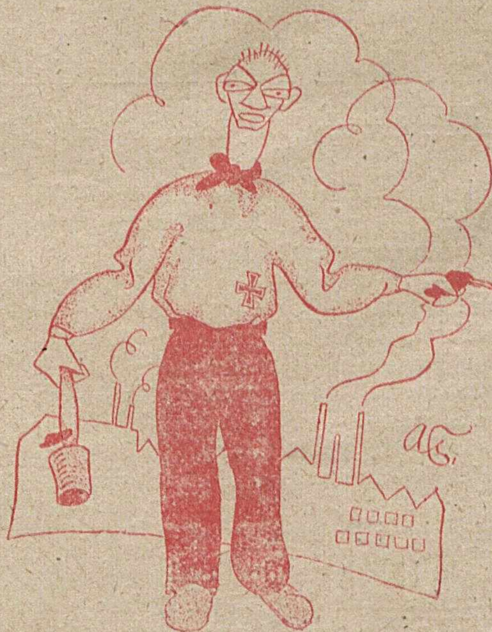
— Ach, więc to pan Iksiński?... Naturalnie... naturalnie... Nie wiedziałem w pierwszej chwili o co chodzi...

. . . .

Po chwili stoi pan prokurator przed lustrem i przymierza nowe garnitury, w których według zdania Marysi, o mało co, że nie prezentował się lepiej, od czeladnika rzeźnickiego z naprzeciwka.

RAORT.

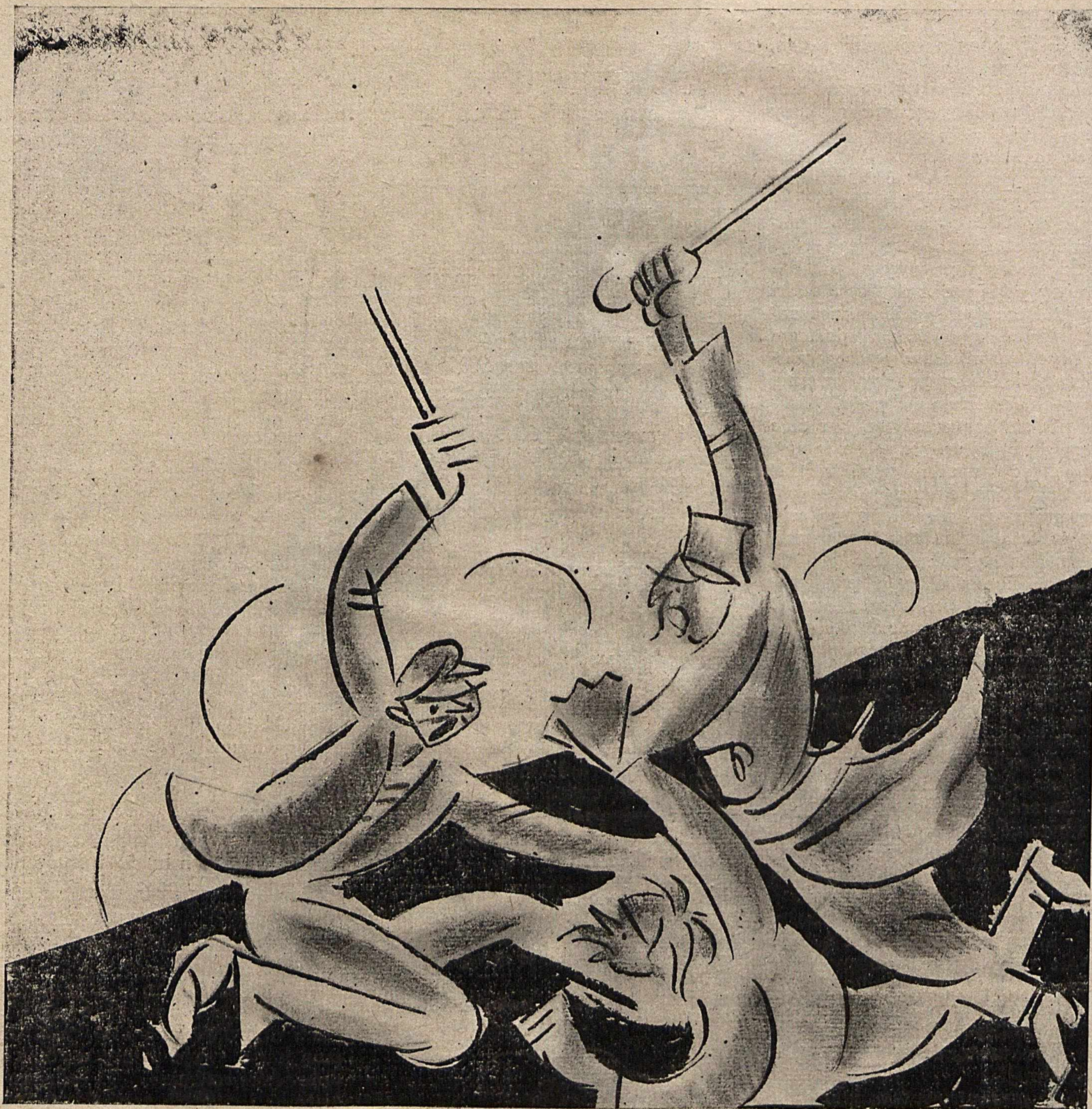
Rys. A. Swinarski, Lwów.



Rozbrojony niemiecki „stosstrupler".

Upały lipcowe w Sejmie.

Rys. J. Zaruby (Warszawa).



Ugoda prawicy Sejmowej z lewicą.

Z roku 2921.

Wśród wykopalisk zalanego przez lawę wulkanu miasta, które miało pono nosić nazwę „Lwów" znaleziono gmach z ogromną ilością papierów, z których po kilkunastoletnich studjach uczeni wykombinowali nazwę tej instytucji. Był to tzw. Deogen.

Skąd ta nazwa?

Jedni udowadniali, że „Deogen„ znaczy tyle co „od Boga dany", gdyż władza pochodzi od Boga. (Deogen — jak np. jodoasogen).

Inni wychodzili z odczytania pieczątki, również pod ławą odnalezionej z kabalistyczną nazwą „DOG".

Wykazano, że „dog" znaczyło w języku wygasłego plemienia tzw. Anglików — pies. DOG. znaczy więc tyle co wierna straż.

Spór, który ciągnął się długo został zakończony przez nowe wykopaliska.

Pokazało się, że „Deogen" jest nazwą formacji geologicznej jak eogen, neogen itd.

Odkryto bowiem w „Deogenie" wiele — mamutów. *pi.*

Irlandja i Polska.

Rzekł Irlandczyk do Polaka
Przed wolności stojąc progiem:
Dola nasza dziś jednaka,
Bo John Bull jest naszym wrogiem!
Na to Polak rzecze: proszę,
Twoja dola znacznie lepsza,
Ja w milczeniu wszystko znoszę,
A ty Bulla rżnierz jak wieprza!

J. G.

Eufant terrible.

— Wiesz Jadzio, czeladź tańczy foxtrotta w stodole!

— Jakto na takiej podłodze? Nienawoskowali sobie nawet?

— Hahaha! Nanieśli sobie siana! *pi.*

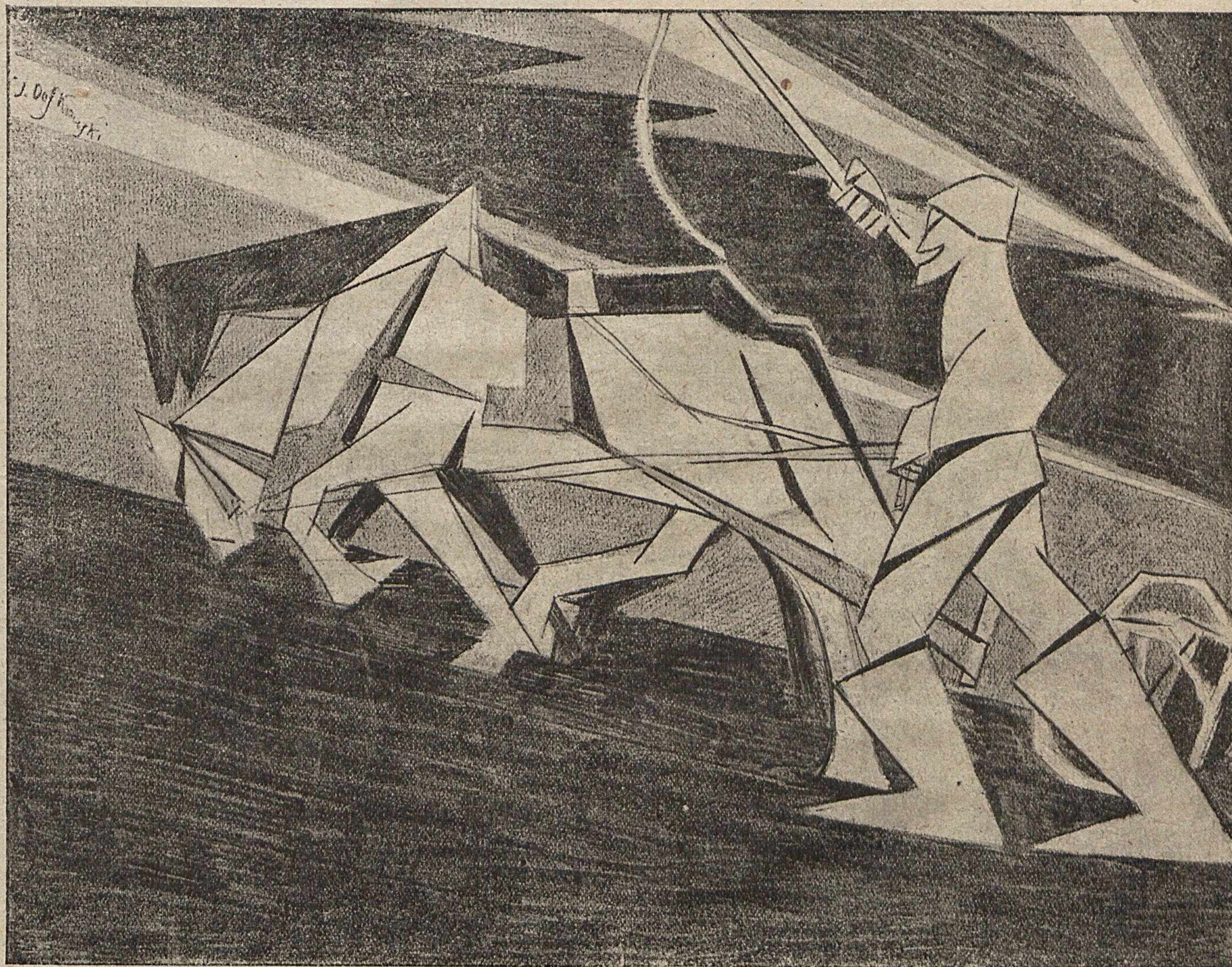
W salonie.

— Usłuchaj pani mą prośbę i bądź dla mnie względną. Wszak teorja względności jest teraz tak w modzie... *Mar.*

Nr. 29. Rok IV

Dodatek „SZCZUTKA"

Rys. J. Doskowskiego. (Kraków)



ORKA

Na nowym dworcu w Warszawie.

(zupełnie autentyczne)

— Przepraszam, czy teraz jest jaki pociąg do Milanówka?

— Nie wiem, pociągi nie odchodzą z kasy, ja tutaj tylko bilety sprzedaję! *J. G.*

Nowy minister spraw zagr.

Po ogłoszeniu nominacji p. Skirmunta na stanowisko ministra spraw zagranicznych zebrali się przedstawiciele prasy warszawskiej aby wspólnie naradzić się, co o nowomianowanym ministrze napisać. Po półtoragodzinnych debatach zgromadzenie doszło do wniosku, że o p. Skirmuncie nie można właściwie nic napisać...

J. G.

Nad Wisłą.

— Antek, nie wisz co to znaczy koaljant?

— Widzi mi się że taki co nam źle życzy! *J. G.*

W Constantin les Bains.

(podsłuchane).

— Gdzie pan mieszkasz, panię Cynamonberg?

— Ja mieszkam w najlepszemu pensjonatu co sobie zowie „Hiszpanka"!

— Panie Cynamonberg, w całego Konstanciniu nie ma tąkiego pensjonatu, pan chciałeś powiedzieć: „Ukrainka".

— Nu, czy hiszpanka i ukrainka to nie jest te same chorobe?! *J. G*

Paderewski.

— Podobno Paderewski przestał grać...

— Tak, ale tylko na fortepianie, za to z całą maestrją gra na niskich instynktach narodowej demokracji!

J. G.

Plac Konstytucji.

— Dlaczego Magistrat Warszawski niechce przemianować Placu Teatralnego na Plac Konstytucji skoro przemianował Plac Warecki na Plac Napoleona?

— Bo przemianowaniem Placu Wareckiego chciał się przypodobać Francji ale Warszawie już niczem przypodobać się nie jest w stanie... *J. G.*

Miasto.

Czerwony płaszcz zachodzącego słońca spłynął z łagodnych spadków błękitu na rozpędzony poświst drutów telegraficznych — oepesz śpieszących we wszystkie strony świata — na łomot niestrudzonych fabryk — na postuk miarowy pracy rąk. Prześlizgują się migawkowo dorożki, automobile, postacie, szyldy, spotniały kurz skwerów, omdlałość pokorna ciągle rozwieranych drzwi sklepów i spacerów bezładnych, ociężałych.

Zmierzch.

Szaleństwo, wibracja. Oddech łapczywy, czujności rozkrzyczanego miasta. Światła. Oczy rozbłysłe, gorączkowe. Wyźli wiatr w nosach węszących zdobycz. Czaty na rogach ulic. Białe sukienki, perkaliki tanie. Ilustracja kształtów. Gonitwa. Zielone ślepia latarń. Błysk lustrzanych tafli, mknących tramwaji.

Miga, tańczy miasto... Ho, ho! — jaki lot — szał, brawura! Czerwono, wesoło! Zielony karnawał! Ławki, ławeczki, werandy cukierniane, ogródki, szepty, gruchania, całunki. Ktoś kocha — mówi, przysięga — pada do stóp — rzucił młodość, wiarę pod biały uśmiech odsłonionych koronek — Pierrot smutny! „Tragiedjante, komedjante" — ha, ha!...

Ktoś szuka gorączkowo. Łbem tłucze o mur. Nic... Takie zwykłe: poszła, psiakrew!

Zaszył się w tłum, uciekł. Upije się — zapłaci — znajdzie!

Ktoś się modli, płacze — pisze wiersze do jasnej kochanki, gwałconej niewiadomo gdzie — jak... Tak jakoś przyszło... Miasto... — Życie!.. Jak w lunatycznym śnie migają nóżki, pończoszki, atłasy, jedwabie, łachmany, zielono-sowie oczy latarń — kocie majaczenie płomyków gazowych — słońca elektryczne uśmiechnionych wystaw — kalejdoskop starych pudeł, mamutów, ścierek i aniołków.

— Och — jaka moc czaru, swobody! Jaki sen wzniosły, kolorowy — fantastyczny!...

*

Skrzep krwi... Tłum. Głowy schylone. Szepczą — odwracają twarze przerażone. Strach zakneblował usta. Cisza... Jakiś pan popędził do telefonu. Mówi szybko, urywanie: Po-go-to-wie...

Rozpryśnięty mózg wżarł się w chodnik uliczny. Skok z piętra... Epidemja samobójstwa... Taki drobny epizod... Taka oklepana, gramofonowa śmierć... Taka nikła, maleńka notatka reporterska w kronice tysiąca wypadków...

*

Rozwłóczy miasto zdeformowane, wklęśnięte materace — wywleka czarny kadłub łożnic małżeńskich i hotelowych... Drżą schody. Tu? — Nie — wyżej... Wolne? Zajęte. Och — nic! Poczekamy.

*

Wysoko na podniebnym piętrze kamienicy — ktoś chory... Śmierć klęczy nad strugą wyplutej krwi. Ujęła w piszczele rąk twarz zgaszoną, dotyka lodowatym posunięciem kikutów oczu bezdennych... Całuje cicho, bezszeleśnie.... A-a a!...

*

W podziemnych norach chlacze wódki i nożownicy... Czas — pora! Błysnęły ostrza... Będą pieniądze! — Psiamać — muszą!

*

Konająca lampka. Białe rzędy łóżek... Godziny, jak automaty przesuwają się bezbarwnie — śmierć dusi ostatnie westchnienia. Wyje gdzieś daleko pies podwórzowy — pieją kury... Blada siostra modlitwy odmawia...

*

Pijane towarzystwo. Pani nieprzytomna. Natarczywe, usłużno przebiegłe objęcia starszego pana. Małe dziecko oplata rączkami suknię — krzyczy rozpaczliwie: Ma-mu-siu!...

*

Lwicz.

Snuje się litanja długa pudeł dorożkarskich. Padają adresy. Jadą ciałka wonne, aksamitne — naręcze kwiatów i kwiczący rechot amorkowatych faunów. — Po kawalersku!

...Pokoik cacany... Kró-lo-o-wo — dzie-e-wczynko mo-o-ja!...

*

Mrok. Wyszczerzyła zęby suteryna. Łażą z wyrafinowanym okrucieństwem szczury — sportowcy żeru — tulą się do anemicznych latorośli nędzy... Chrapliwy bulgot głodnych żołądków... Ostatnią kiecką matczyną osłonięty bachor — a jutro? Chyba Mańka pójdzie... Ten z przeciwka — łapczywa swołocz! Zapłaci.

O — Jezu, Jezu!...

*

Wiją się na skołtunionej pościeli biedne, rozgrzane ciała chłopców smutnych i dziewcząt niepokoje... Nie mogą spać. Noc widna, miasto — światła... Cicho szepczą wargi stęsknione modlitwy gorące...: — Ja nie chcę — wstyd... A moja mama, tatuś w tym samym pokoju (???) Kiedy ta noc się skończy! — Czy to, naprawdę grzech?...

*

Cichnie syreni pogwizd zdyszanego miasta. Ostrza szabel wstającego ranka zabłysły na kostnicy uśpionych domów. Wstaje praca słońca i praca rąk. Za chwilę trzaśnie o pulpit z wściekłością sam dyrygent — życie i zagra orkiestra swoje tango straszliwe po wszystkich ulicach i pogoni na złamanie karku twórczość i zagłada. *Z. Lwicz.*

Ma rację.

— Papeczko, ja chcę koniecznie zostać malarką!

— Ależ bój się Boga dziewczyno, ty w tym kierunku nie masz nie tylko talentu, ale nawet odrobiny zdolności!

— E, papeczko, ja gwiżdżę na talent i zdolności, bo ja chcę być malarką—futurystką! *A. B.*

Jąkało.

Na Nowym Świecie spotykają się dwaj przyjaciele, którzy dawno się już nie widzieli. Jeden z nich jest jąkaty. Drugi gadułą. Gaduła nie daje przyjść do słowa — jąkało zasypuje go pytaniami, a za odpowiedź wystarcza mu kiwnięcie głową. Wreszcie pyta wskazując małą dziewczynkę, którą jąkało prowadzi za rękę.

— A twoja córeczka? — Prawda? Ileż ma lat?...

Na to jąkało:

— Ja-ja-ja-jakby toooo ppppowiedzieć... trzy!

— E, nie mogłeś tego odrazu powiedzieć.

Kwiatki nie św. Franciszka.

Opowiadano mi onegdaj o rozkazie dziennym, w którym zawiadamiano oficerów ku ich zbudowaniu, poprawie i zachęcie, że ten a ten oficer został skazany aż... na trzy tygodnie aresztu, za to „iż wyszedłszy z hotelu X. w stanie opitym bił po twarzy posła na sejm".

Zaprawdę pytam kto jest u nas suwerenem?

*

Natomiast degradacją ukarano zwolnionego już oficera, za to, że „będąc jeszcze w ubraniu wojskowem na jednej z ulic o godzinie 4 popołudniu rozmawiał w sposób poufały z damą lekkich obyczajów"..

Nie pojęta wrażliwość na rozmowy!

Chyba, że „poufałość sposobu" tej rozmowy nie pozostawiała wątpliwości.

. . . .

Ami.



Marka polska.

— Mówią, że im przedmiot lżejszy, tem łatwiej idzie w górę. Marka polska ma już tak małą wagę i jeszcze ciągle spada...

*

Dnia 30. czerwca b. r. w samo południe pada na ul. Marszałkowskiej jakiś człowiek.

Zbiegowisko. Ratunek. Komentarze.

— Jakiś chorowity widać człowiek — powiada przechodząca kobiecina.

— Pewno się upił — woła kilku nastoletni wyrostek.

— Ani jedno, ani drugie — odpowiada po chwili słabym głosem leżący na ziemi człowiek. Spadły tak gwałtownie marki polskie, że pociągnęły mnie ze sobą na ziemię.

*

— Niektórzy twierdzą, że jeżeli kurs marki dalej się będzie w tym samym tempie „podnosił", to za rok wygrana miljonówka wystarczy akuratnie na kupno... 1 kgl. czereśni.

*

— Jako wysoki urzędnik państwowy zarabiam dziennie 500 marek. — Obliczyłem, że spekulując jednym jedynym dolarem można było ostatnimi czasy więcej dziennie zarobić!

*

W kwietniu b. r. przyjechał do Warszawy z Ameryki pewien uczony na studja. Ponieważ miał tylko 100 dolarów, lękał się, że będzie mógł z tej kwoty najdłużej utrzymać się tu przez dwa miesiące.

Pierwszego miesiąca zmienił 50 dolarów, drugiego już tylko 20, a trzeciego 10.

Nasz uczony spodziewa się, że przy „poprawiającym" się ciągle kursie marki polskiej będzie mógł długo, długo jeszcze zabawić w Warszawie.

*

Lekarze nakazali mej ciotce kurację w Karlsbadzie. Z początkiem maja b. r. wymieniła w Warszawie 110.000 marek polskich na 10.000 koron czeskich i z kwotą tą wyjechała do Karlsbadu. Po przebyciu jednomiesięcznej kuracji wróciła z powrotem do kraju z kwotą 4000 koron czeskich, za które otrzymała tu 120.000 marek. W ten sposób bawiła darmo pełny miesiąc w Karlsbadzie i zarobiła jeszcze na tem 10.000 marek!

Mar.

Moralista.

A.: Ale ten Mickiewicz był niemoralny człowiek!

B.: ? ? ?

A.: Nu, pomyśl pan, jak wun mógł napisać „do mojegu Cycerone w Rzymie"?

Lotos.

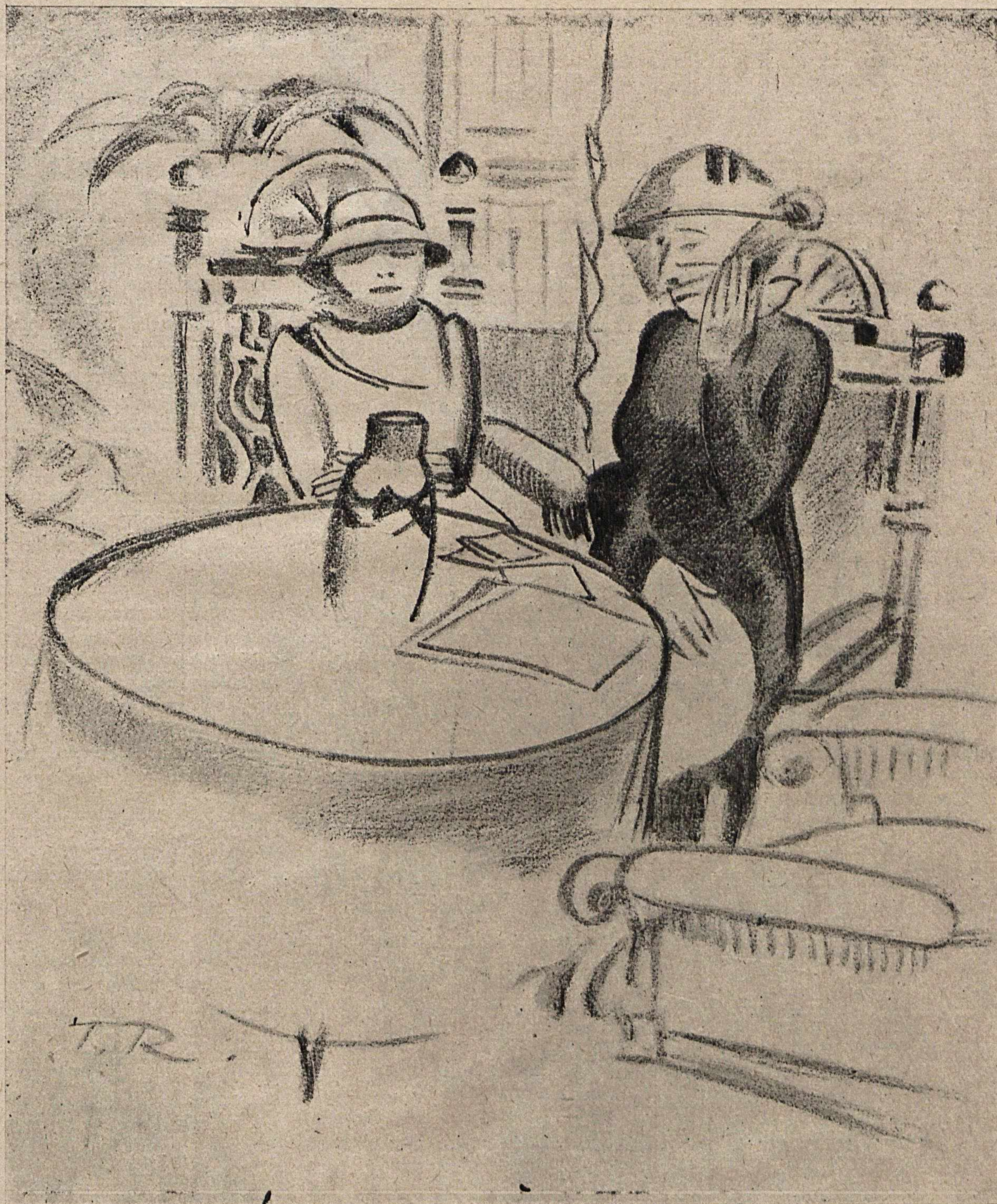
Baron Reitzes.

Z chwilą gdy bar. Reitzes dowiedział się, że nie może zostać poddanym Rzeczypospolitej, rzekł do pewnego wysokiego dygnitarza polskiego: *mich reitzt es nicht mehr*, ale was Polaków powinien podniecić i drażnić fakt, że ententa zezwala tylko nędzarzom austrjackim przyjmować poddaństwo polskie, a z chwilą, gdy taki potentat jak ja pragnie to uczynić, entente'a protestuje, aby wziąć dla siebie to, coby wam mogło jednak dać pewne korzyści!

podsłuchał *Jerzy Gur.*

W KĄPIELACH.

Rys. T Rożankowskiego, (Poznań).



Krynica słynie jako zdrój dla nie mających się dobrze panien i jako cel dla wędrówek aktorów.
— Mojej Loli przybywa, proszę pani radczyni.
— Mojej Zosi niestety zadużo przybyło!

P. Ketenhendler w Zakopanem.

Pan Ketenhendler pisze do swego kuzyna, który pozostał skromnym kupcem łokciowym.

Kochany Kubo!

„Prowadzę życie szampańskie. Jem w Sanato albo u Karpowicza a la carte, jeżdżę na świeże tchnienie Tatr z autem, nic nie robię, tylko kładę się na werandę. — Twój Ketenhendler".

Pan Jakób z zazdrością do żony:

— Ten Ketenhendler zrobił się cały szlachcic. On teraz pojechał na świeże tchnienie. On zapomniał kiedy jadł śledź i jego żona nazywała się Sara. On teraz je tylko alacarty, a żona jego nazywa się już Weranda, jak nasza hrabina! *pi.*

Młodości, ty ponad poziomy..,

Jest w parku Kilińskiego droga, obsadzona ławkami, mroczna. Idę nią z pewnym entuzjastą wieczorem.

— Ah, ta ścieżka powinna nazywac się „Ulicą Ody do młodości"!

— ?

— „Sięgaj tam, gdzie wzrok nie sięga". *pi.*

Z dobrego domu.

Matka: Morycku musisz się teraz bardzo elegancko zachowiwać i pamiętać ciągle, że od 14 dni jesteś z dobrej familji. *l.*

Wincentemu Rapackiemu w dniu jubileuszowym.



Składamy, Mistrzu, dziś przed Tobą
Garść słów, bogatych jednak w treść,
Ty-ś sceny polskiej jest ozdobą,
Przyjm hołd gorący nasz i cześć!

Artysto wielki z Bożej łaski,
Coś się na szczyty górne wspiął,
Nietylko-ś sławę i oklaski,
Ale i serca nasze wziął!

Ze sztuką święcisz złote gody,
A choć włos siwy dał ci czas,
Twój duch wieczyście zawsze młody
Entuzjazm budzi wpośród nas!

Redakcja „Szczutka".

Między sejmem a oborą.

LIST I.

Warszawa, w dzień św. Jana Chrzciciela.

Kochana żono!

Pozdrawiam cię i Bóg ci zapłać za wiadomość, że jesteś w dobrem zdrowiu, bo mnie tu cholera brała, ale już wszystko szczęśliwie minęło, więc i ty patrz i staraj się, aby krasa szczęśliwie się ocieliła, jakom i ja się postarał, że Steczkowski zostaje, choć tu każdy łapę do niego nadstawia, i to zaraz o miliardy, a Kantek ma ci węża w kieszeni i niechce dać się skubać, o czem gdy już piszę, to niezapomnijże najdalej do Piotra i Pawła gęsi dać podskubać, bo tu za funt puchu i pięć tysiączek płacą, do czego możesz i dartego pierza domieszać, bo i w polityce stronnictwa koty drą i Sapiecha poszedł a Skirmunt jest na jego miejscu, tylko niewiadomo jaki on ta się pokaże, tyle tylko że był w Rzymie to może mu Pan Jezus pobłogosławi, tak jak nam z tą maciorą co piszesz, że aż 24 prosiąt zrzuciła, ino niewiem jak będzie z karmieniem, bo ma osiem cycków wszystkiego i chyba na szychty ssać ją będą, tak jak te misje żydowskie, co jedna znów ma przyjechać z Ameryki, zaco niechby ją cholera po drodze zdusiła, a gdyby się u naszego drobiu pokazała, to nie żałuj ino poślij po weterynarza a niepłać go bardzo ino zrób mu oskomę na *virtuti militari*, który może się i Teodorowiczowi dostanie, tak go komisja wybieliła, przeciw czemu, że to niby arcybiskup oponować się nie mogłem, ale zato oponowałem się mocno za zniesieniem sekwestru na zboże, bo niech pszenica tylko o paręnaście setek poskoczy, to na naszych 1200 korcy będzie bez mała o 2 miljony więcej, nie mówiąc już co żyto i owies dadzą, bo jęczmień latoś kiepski, tak samo jak i reforma rolna, z której się nawet co mądrzejsze chłopy śmieją, bo musiałabyś całą Polskę dukatami obsiać i żniwo z nich mieć siarczyste, aby na tę reformę rolną starczyło, bo to nie to samo co moja głowa, która na wszystko starczyć musi, gdzieby inny już skrepirował, tyle tu jest różnego cygaństwa i podejścia, a przecie trzymam się i jeźli tych 2200 mórg, co tak o nie piłujesz, nie kupuję, to bez to, żeby się potem nie nazywało, żem się bardziej o moją własną niż o skórę Rzeczypospolitej turbował, w której jest już tyle dziwa, że ino łaską Pana Boga, kupy się trzyma, a może i tak być, że cała jedną wielką dziurą się stanie, do której abyśmy z innymi nie wlecieli dam pozór, jako i ty go dawaj na inwentarz, na gady, na wszelaki statek i inny dobytek, zaco cię całuję i opiece Bożej z całą chudobą polecam *Wicek.*

Wiadomości warszawskiej prasy.

Poniedziałek. Z najlepiej poinformowanego źródła dawiadujemy się, że Anglia zajmuje nader życzliwe stanowisko względem Polski i jej praw do Górnego Śląska.

Wtorek. Jak informuje pewna placówka dyplomatyczna sprawa Górnego Śląska zdaje się być dla Polski straconą.

Środa. Możemy zapewnić naszych czytelników, że w Londynie sprawa Górnego Ślaska znajduje się w stadjum wysoce dla Polski pomyślnem.

Czwartek. Jak donosi nasz specjalny korespodent Anglia stanowczo oświadcza się przeciwko przyznaniu Górnego Ślaska Polsce.

Piątek. Z powodu zgody Francji na mianowanie Emira Fajdała królem Mezopotamji, który jest kandydatem Angli, rząd brytyjski przyrzekł ustąpić Francji w zapatrywaniach na sprawę górnośląską... (autentyczny przedruk depeszy gazet warszawskich z dnia 27 czerwca br.)

Sobota. Czy Anglia jest za przyznaniem Śląska Polsce czy też nie, dowiemy się z depesz poniedziałkowych, tymczasem nic pewnego w tej materji podać nie możemy.

wycinał J. G.

Opowiadają...

Na słynnej rozprawie Banku Kupiectwa Polskiego o szereg nadużyć, a między innymi o szmugiel marek polskich do Gdańska i sprzedawania ich tam za walutę niemiecką... ktoś, podczas przerw w obradach, omawiając na kurytarzu oskarżenie powiada:

— Et, gadanie, szmuglowali marki polskie — a niby rząd sam tego nie robi jak potrzebuje obcej waluty...

— Jakto... pyta jeden ze słuchających.

— Ano takto, że rząd podstawia kogoś, kto cichaczem wywozi mareczki i sprzedaje, jak potrzeba przyciśnie...

— Mój panie — odezwał się sentencjonalnie trzeci uczestnik rozmowy — zna pan to stare przysłowie polskie: co wolno rządowi tego nie wolno bankowi.

*

Jeden z miljonerów warszawskich, nie odznaczający się po za ciężką kieszenią niczem innem, kupił od trzech wojskowych auto. W rezultacie i oficerowie ci i miljoner znaleźli się w areszcie, bo jak wiadomo istnieje przepis zakazujący pod surową karą kupowania jakichkolwiek rzeczy od wojskowych.

Na swoje usprawiedliwienie miljoner podał, że auto było bardzo tanie.

Na to zwrócono mu uwagę, że właśnie ta okoliczność powinna była wzbudzić w nim wątpliwość, czy kupno było godziwe.

Wtedy z koleji miljoner:

— Jak to proszę panów, przecież nie sprzedawał byle kto, a wyżsi wojskowi...

— To pan chciał, żeby auta sprzedawali zwykli szeregowcy?

— Proszę panów ja się tam na szarżach nie znam, ale byłem przekonany, że ci co mi sprzedawali to ludzie z kościami poczciwi. Sam widziałem j a k s i ę d z i e l i l i ceną kupna...

*

Opowiadają, że niedawno mieli amerykanie wydzierżawić już nasze koleje. Dawali państwu zapewnienia podobno znakomite — jednego tylko się domagali jako warunku *sine qua non*... mianowicie, że zorganizują sami własną żandarmerję kolejową.

— A z czegóż będzie wówczas żyło pięćdziesiąt procent kolejarzy — zapytał z troską jeden z fachowców, uczestniczący w pertraktacjach...

No i wydzierżawienie koleji amerykanom nie przyszło do skutku...

Rada dla czytelniczek.

Piękne panie, a zwłaszcza, ty kwietna pękowino życia, niewieści uroczy, dziewiczy doroście, który tak wydajnie popierasz wypożyczalnie, przyjm rad parę co do wyboru książek na lato:

Bierzesz w zimie do biur, grube bardzo grube książki, żeby było czem czas zabijać — teraz na wywczasy letnie bierz książki cienkie. Czas lepiej zabija się latem na djalogach, ale nie na tych drukowanych, które tak kobieta lubi — tylko na tamtych djalogach (najczęściej mało bogatych w słowa).

Bierzesz w zimie książki, co się źle kończą, smutne — teraz lepiej bierz te, co się pogodnie kończą. To, co zaczyna się w letnie, upojne, księżycowe wieczory i tak zwykle kończy się smutno...

Bierzesz w zimie książki „strasznie" interesujące — teraz możesz brać zupełnie rozwlekłe i nudne, wszak gdy się czyta we dwoje, zwykle z treści czytanego nic a nic nie zdaje się sprawy... *pi.*

Wygadała się.

Służąca: Byłam na jednem miejscu 5 lat i byłam bardzo pilna i pracowita.

Pani: A dlaczegoście stamtąd odeszli?

Służąca: Potem mnie ułaskawili. *M*

Doświadczony.

— Ojcze, dlaczego zwycięstwo przedstawia się zawsze w postaci kobiety?

— Czekaj tylko synu, jeśli się kiedy ożenisz zrozumiesz to wtedy. *M.*

Rozkosze małżeńskie.

— Teraz przyjacielu musisz się ożenić — rzecze do kawalera żonaty. Czyż może być coś milszego jak wierna kochająca żona, która ci gotuje przysmaki, oporządza twoją bieliznę, naprawia ubranie.

— *Kawaler*: No, takiej żonę bym chętnie chciał.

— *Żonaty:* (zamyśliwszy się). I ja także. *M.*

Dowcipny.

— Słuchaj Karolu, pożycz mi 500 mp. bo zapomniałem portfel w domu.

— Niestety nie mam przy sobie takiej kwoty, ale mogę ci dać 10 mp. na tramwaj. Jedź do domu i przywieź pulares. *M.*

W sądzie.

Sędzia do oskarżonego: Proszę mi wytłumaczyć w jaki sposób mogliście w biały dzień wynieść niespostrzeżenie z zamkniętego mieszkania dwa dywany?

Oskarżony: Przepraszam ale tajemnic interesu nie mogę zdradzić. *M.*

Niemądry.

— Co się panu stało, że pan tak gorzko płacze?

— Żona uciekła odemnie.

— Ej człowiecze nie grzeszyłbyś. *M.*

Nasza biurokracja.

— Czy rewident X. porządny człowiek?

— Powiadam ci, nadzwyczajnie! Pomyśl sobie, jest o całe pół roku starszym odemnie rangą, i ani razu nie dał mi tego odczuć. *Mar.*

W kawiarni.

— Czy słyszał pan, marka polska będzie stemplowana!

— O???

— Tak! Każda marka polska dostanie stempel „Bóg zapłać".

Wytłumaczył.

— Powiedz mi dlaczego urzędnika, który sprzyniewierzył tysiąc marek skazuje się na rozstrzelanie a takiego co zdefrauduje np. dwa miljony marek zostawia się w spokoju?

— Bo przez tysiącmarkówkę kula przejdzie z łatwością ale przez dwa miljony marek...!

J. G.

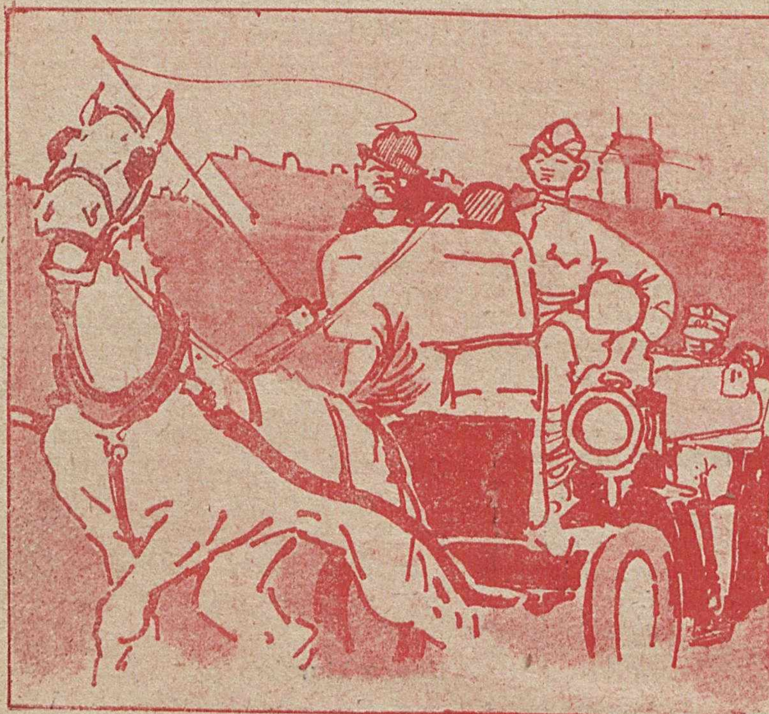
Przy maturze.

Profesor: W jaki sposób byś wywołał zniżkę marki niemieckiej?

Uczeń: Gdybym przeniósł ministerstwo skarbu z Berlina do Warszawy. *Mić.*

Rys. S. Kellera (Kraków).

Najnowsze „uproszczenia“ pokojowe Min. kol. żel.

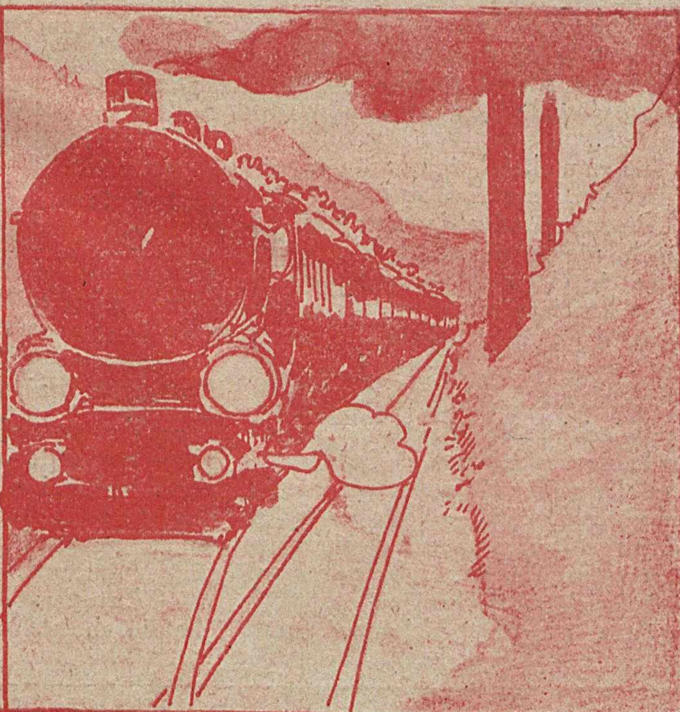




I.
Pan porucznik skończył wojnę
Jak to miło teraz chłopu,
Gdy do domu się udaje,
Aby spędzić czas urlopu.

II.
Przy pociągu mu melduje
Antek kapral pełen strachu,
Jako panom „oficyrom“
Wolno jechać dziś na dachu.





III.
Taki rozkaz Ministerstwa
Jak nie wolno trudna rada,
Pan porucznik z tobołkami
Wraz z innymi na dach siada.

IV.
Pociąg gna — na dachach wozów
Szare tulą się postacie.
Wciąż zazdroszczą nam cywile:
Niemasz jak przy wojsku bracie.

Redaktor naczelny i kier. literacki: **Henryk Zbierzchowski.** — Kierownik artyst.: **Zygmunt Kurczyński.** — Nakładem wydawnictwa „Szczutek“. Klisze wyk. w zakł. „Unia“ Redakcja i Administracja. Lwów, Zimorowicza 5. — Warszawa, Nowy Świat 50. Drukiem „Prasy“ Sokoła 4.